

Kawałek prawdziwej, i często okrutnej, rzeczywistości

# Jak to w Polsce

Z IZABELLĄ CYWINSKĄ, reżyserem serialu „Boża podszewka”, rozmawia Adam Dolistowski

– Oglądając, zrealizowaną przez panią „Bożę podszewkę”, odniosłem wrażenie, że oto naprawdę, tak jak bohaterowie filmu fizycznie w jego zakończeniu, my intelektualnie zegnaliśmy się dzisiaj z polskimi wschodem, z kresami. Może dlatego, że zapisujemy się do Europy w wydaniu zachodnim. Czy słusznie odczytałem pani intencje? Rzeczywiście żegna się pani z „wielką ojczyzną” polskiego romantyzmu?

– Może... Zwrócił pan uwagę na coś, co chyba tkwiło w mojej podświadomości, ale nigdy tak tego nie próbowałam nazwać. Jestem lwowiaką. Stamtąd pochodzi większość mojej rodziny. Jestem związana z kulturą i obyczajem tamtych stron. Zresztą wszyscy, tu nad Wisłą, chcemy czy nie chcemy, jesteśmy kresowi, wychowani na literaturze tam powstałej, na romantykach: Mickiewiczu, Słowackim. Często nie zdajemy sobie też sprawy, jak bardzo nasze XIX-wieczne malarstwo jest stamtąd, a my z niego. Tak! Zaskoczył mnie pan swoim pytaniem. W „Bożej podszewce”, jak u Czechowa, kończy się jakiś świat...

– Żegnamy się dlatego, że nie mamy szans tam wrócić? Czyżby ten serial to realizacja swoistej realpolitik?

– Polityki? W żadnym wypadku. – Ale jednak kresy są polityczne. Stosunek do kresów w polskiej tradycji intelektualnej jest stosunkiem politycznym.

– Ale mój wybór był wyłącznie osobisty. I to nie dlatego, że urodziłam się na kresach. Powieść Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz przyjąłam bardzo osobiście. Jej świat stał się moim. W ciągu trzech lat pracy czasami zapominałam, że to Teresa opowiada. Wydawało mi się, że to ja opowiadam. Uważam, że to jest powieść szczególna. Nie jest bezkrytyczna wobec kultury i obyczaju kresowego. To nie piękny oleodruk, ale kawałek prawdziwej i często okrutnej rzeczywistości z ciemnotą w roli głównej. A poza tym język dialogów, które dają aktorom szansę dopowiedzenia czegoś od siebie. Nic tu nie zostaje nazwane do końca, zawsze dotykamy jakiejś tajemnicy. Nic nie jest czarne ani białe. I znowu przywołam Czechowa, mistrza dialogu, który nigdy nie powiedział niczego wprost.

– Jeśli jest to nostalgiczne i osobiste pożegnanie, to z czym? Z tradycją romantyczną? Specyficzną obyczajowością? Niebanałnym, acz szczerym patriotyzmem? Może jest to pożegnanie z człowiekiem o dziwnych właściwościach, który zamieszkiwał właśnie na styku między Polską i Rosją?

– To nie jest pożegnanie. Bardziej tęsknota za czymś, co odeszło. Ta swojska ciemnota, właściwy tylko tym ludziom sposób myślenia o świecie, relacje międzyludzkie, stosunek do kraju, ojczyzny. Do tego tęsknimy, a jesteśmy skazani na życie z zimnym ekranem komputera. Nowa komunikacja tak nas do siebie wzajemnie zbliżyła, że absurdalnie oddaliła od własnych korzeni. Cały świat tak groźnie się zbliżył, tak nas ogarnął, że brakuje nam już czasu na skupienie się nad własnym losem, naszą rodziną, naszą małą ojczyzną. W „Wielopolu”, „Wielopolu...” Kantor, z perspektywy jednej wioski, ukazał kosmos. Nie ośmielając się porównywać... Majątek Juryski – dla Teresy Lubkiewicz-

Urbanowicz i także dla mnie, jest owym czymś małym, najbliższym, w czym się skupił cały świat.

– Jednak pani ten świat demitologizuje...

– Żyjemy w epoce po Gombrowiczu. Nie można już inaczej. Dlatego tak spodobała mi się powieść Teresy, ponieważ jest w niej kropla gombrowiczowskiego dziegciu.

– Rzeczywiście, oglądamy kresy mniej patriotyczne, bardziej erotyczne – zapewne prawdziwsze.

gwarą wileńską. Rozumiem, że jest to jeden z „filtrów” współczesnych, który ma przybliżyć dzisiejszemu widzowi tamten świat.

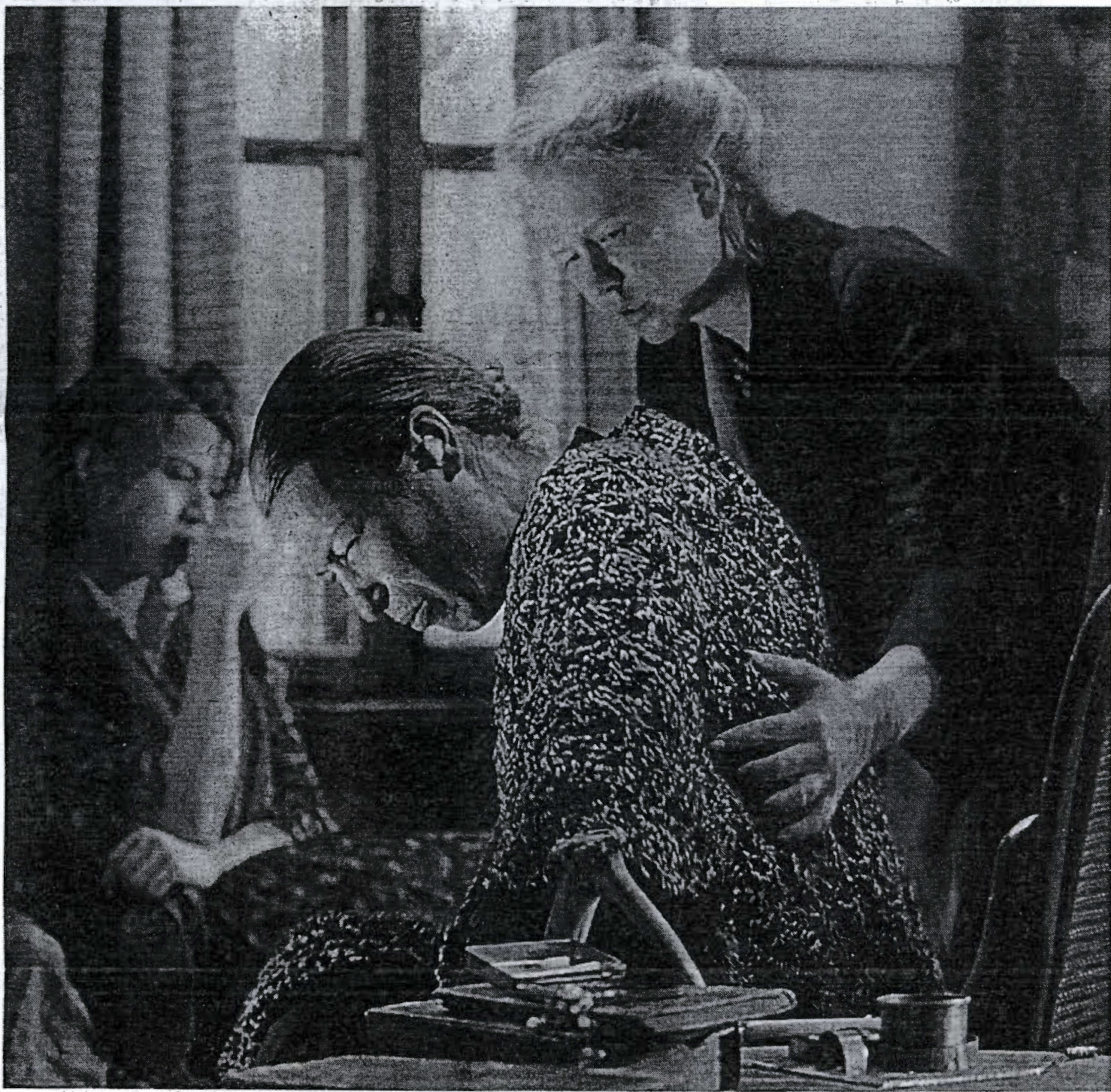
– Tak, dzisiaj niestety zmierzamy do unifikacji i również o czasach dawno minionych, jeśli chce się je uwiarygodnić, trzeba opowiadać językiem współczesnym, dla wszystkich zrozumiałym. Jest jednak pewna granica. Szczególnie dzisiaj powinniśmy przypominać o różnych twarzach naszej kultury i naszego obyczaju. Do Europy, dokąd tak szybko zmierzamy, warto jest wchodzić z własnym obliczem, a nie cudzą „gębą”. Już za chwilę dla tejże Europy będziemy kresowiakami. I mamy szansę oddać Europie to, co

styczną, bardzo utalentowaną i, co ważne, proponującą niekonwencjonalne środki. Danka Stenka jest moją aktorką „od zawsze”. Była u mnie w teatrze. Pracowałam z nią wiele lat. Znałam ją bardzo dobrze. Tu nie mogło już mnie nic zaskoczyć. Jest świetnie! Ale zupełnie nie znałam Andrzeja Grabowskiego. Widziałam go wyłącznie na scenie. Stworzył w „Bożej podszewce” pełnokrwistą postać szlachciury, którego nie da się nie kochać. Szeroki, otwarty, wschodni człowiek. A Janusz Michałowski, z którym pracuję tyle lat... Też dał się poznać z zupełnie innej strony. Aktorzy przez rok realizacji tak zżyli się z postaciami, że w efekcie znali je lepiej chyba ode mnie.

– Nie. W teatr nie zwątpiłam w żadnym wypadku, ale postanowiłam zrobić chwilową przerwę. Terese Lubkiewicz-Urbanowicz znałam wcześniej. Reżyserowałam jej sztukę „Wijuny”, którą odniosłyśmy sukces. Kiedy przeczytałam maszynopis „Bożej podszewki”, wiedziałam od razu, że bardzo chciałabym przełożyć ją na obraz. Z pietyzmem oczywiście zachowując to, co najlepsze w tej świetnej prozie, ale koniecznie chciałam zobaczyć na ekranie „swoją” obraz. To nie był wybór, to była natychmiastowa decyzja.

– Czy reżyser filmowy i teatralny to ten sam zawód?

– Ten sam, tyle że reżyser filmowy może się kimś podeprzeć, wyręczyć



Kadr z serialu „Boża podszewka”. Na zdjęciu Katarzyna Herman, Danuta Stenka i Agnieszka Krukówna.

Fot. Prasowa Agencja Telewizyjna

– A tak, bo to jest film oparty na autobiograficznym wątku, na żywych wspomnieniach, a nie czysta kreacja, albo podręcznikowa historia Polski i jej bohaterów. O właśnie! Historia w „Bożej podszewce” dzieje się w sieni tuż za progiem mieszkania. Rosyjskie żołdacy tratują ukochany klomb przed gankiem, a wózek na Sybir obserwowana jest przez dziurkę od klucza. Nie ma tu narad sztabowych i przegranych bitew, mimo że historia towarzyszy bohaterom od dnia ich narodzin do śmierci. Jak to w Polsce.

– Bohaterowie pani filmu mówią językiem stylizowanym, ale nie

nam dały kresy: inną barwę kultury. – W „Bożej podszewce” w dużym stopniu nośnikami owej barwy są aktorzy. Czy było coś w czasie realizacji tego serialu, co mogłoby pani nazwać specyficznym doświadczeniem pracy z aktorem?

– Chyba tylko to, co wynikało ze specyfiki serialowej. Po raz pierwszy w życiu robiłam serial tak długi. „Boża podszewka” to trzy lata mojego życia. Wcześniej zrobiłam czteroodcinkowy serial dla młodzieży „Abigel”. Chciałam sprawdzić, jak mi się będzie pracować z Agnieszką Krukówną. Czekal nas rok wspólnej pracy. Okazała się być aktorką ela-

Miłą niespodzianką okazała się Karolina Gruszka. To jej pierwsza rola. Gra kilkunastoletnią córkę Maryśki, śliczną i wrażliwą. Udało mi się „odkryć” Izę Dąbrowską, aktorkę z lalkarskiego środowiska w Białymstoku, która bardzo interesująco zagrała Wandzię „Rzykowałałam”, jak mi usiłowano wmówić, obsadzając znanych aktorów estradowych lub zdecydowanie komediowych w rolach dramatycznych. Zobacz pan, jak się sprawdzili, między innymi Hania Sleszyńska. Cieszę się z nich.

– Realizacja serialu to długa i żmudna praca, ogromny wysiłek. Podjęła go pani zważając w teatrze?

w czasie pracy. Takim podparciem dla mnie była współpraca z operatorem Ryszardem Lenczewskim. Zrobił to, co wspólnie wcześniej założyliśmy: jednocześnie nastrojowe malowanie i ostre dokumentowanie niepokorną kamerą. Oba te żywioły w „Bożej podszewce” udało się połączyć. Drugim moim „podparciem” była praca z Anną Wagner – montażystką. Dużo się od niej nauczyłam, dużo jej zawdzięczam... Reżyser filmowy pracuje z wielką ekipą, natomiast reżyser teatralny prawie zawsze w kluczowych momentach pozostaje sam. Reżyserowanie filmu to są wakacje dla reżysersa teatralnego.